

MARYA SEGENY.

OTCHŁAŃ

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

3)

— Niechże panna płaszcz i kapelusz zdejmie — proponowała pokojówka, zauważywszy jej bladłość i zmęczenie. — To pewnie panna cała noc jechać musiała?

— A cała. Tak ciasno i duszno było w przedziale.

— Teraz to tylko pierwszą klasą jeździć można — wyrzekła dziewczyna z pewnością siebie — bo w drugiej to już sama hołota i żydzi.

— Ja trzecią jechałam — przyznała się Marta.

— Oh! to nie zazdroszczę. A panna tu właściwie po co? — pytała ciekawie, przyglądając się Marcie. — Do teatru może? Moja pani pewnie namówiła w Zakopanem. Ale nie radziłabym. Tam bogatych sukien i kapeluszków potrzeba — dodała obrzucając jeszcze raz spojrzeniem ubiór Marty. — I bez protekcji to ani weź!

— Nie, nie do teatru, chociaż... czy ja wiem... zamyśliła się Marta. — Życie zmienić chciałam... Dorobić się samodzielności... pozycyć dobrej...

— To panna pewnie edukację ma — zauważyła już z większym szacunkiem dziewczyna. — Szkoły kociły? Z dobrej rodziny pochodzi?

Marta tylko skinieniem głowy przytaknęła. Męczyło ją to niedyskretnie badanie, rozgadanej sługi.

— A to co inszego! — oświadczyła poważnie ta ostatnia. — Edukacja to wiele znaczy. Żeby mnie byli kształcenie dali, nie wystugiwałabym się teraz... u takiej. Choć narzekać nie mogę, dobra jest i z garderoby zawsze coś dostanę i obrywkę są od tych panów, co tu chodzą. A przychodzi ich tu dosyć, o! dosyć! Możeby się panna kawy napiła? — proponowała uprzejmie. — Po takiej drodze, to i jeść się chce pewnie. Właśnie dla pani świeża parzyć będę.

— Dziękuję bardzo. Napiję się z przyjemnością — ożywiła się trochę Marta, której głód już na dobre dokuczać zaczynał. — A dawno już pani jest u pani Sokolich?

— Mnie tu wszyscy mówią panna Lola — zaśmiała się pokojówka, rada z pogawędki. — A już z rok. Parę razy odchodzić chciałam, bo i ja często chimery noszę, ale mnie uprosiła, bluzek jedwabnych nadała, to i zostałam. Dobra jest ino prędką i kapryśną, trudno dogodzić, jak na nią co padnie.

— Obiecała się mną zająć, pokierować — zwierzała się Marta, ujęta uprzejmością dziewczyny, której pierwsze powitanie zmroziło ją trochę i swojską atmosferą czystej ładnej kuchni po której aromatyczny zapach kawy zaczynał się już rozchodzić z porcelanowej maszynki.

Jakoś nie źle się zapowiadał ten pierwszy dzień jej pobytu w Warszawie.

Niedługo może i ona sama mieć będzie takie wspaniałe, bogate, o lśniących jak szkło posadzkach mieszkanie i własną pokojówkę przyrządzającą jej wonną kawę, podczas kiedy ona odpoczywać jeszcze będzie w miękkim jak puch łóżku, pod aksamitną, jasną kołdrą.

Szczęśliwa ta pani Luna!

Martę tylko jedna rzecz raziła, rzecz, którą właściwie do głębi zrozumieć jeszcze nie mogła.

Dlaczego ten posługacz i ta dziewczyna wyrażali się z takim lekceważeniem o pani Lunie?

Wspominali o jakichś listach, często bywających mężczyznach! Czyżby oni przyczyniali się do zbytku i wygody życia, którymi pani Luna była otoczona? Więc ta kobieta-zjawisko, ta idealna, rozpromieniona szczęściem istota, zdająca się móżdżem zawładnąć całym światem, im, tym mężczyznom zawdzięczała swoją potęgę i sławę, stać się mogła ich powolną niewolnicą, tak samo jak ta matka jej udręczona i wynędzniała podająca się wstrętną władzę za cenę nędznej strawy codziennej i zadowolenia najniższych instynktów? Czy to być mogło? Więc zawsze i wszędzie spotykać się będzie z tą niewolą i zależnością? Różnica jest tylko w ilości i jakości tego, co otrzymuje kobieta za swoje zaprzęgnięcie się?

Ogromnie wybujała indywidualność Marty i jej wiara w siły własne i energię życiową nie mogły się pogodzić z tą myślą.

Więc zawsze coś, za coś, targ, handel wymienny, a nie swojego, własnego, niepodzielnego w stosunku do mężczyzny?

— Co się panna tak zasmuciła? — przerwała nagle zamyślenie Marty panna Lola zajęta nalewaniem kawy do ładnych, cienkich filiżanek. Jak pani tu ściągnęła, to i zająć się musi. Tylko, że u niej takie zajęcie to krótko potrwa. Dziś tak, a jutro inaczej. Jak jej fantazja przyjdzie. Trzeba tylko umieć wykorzystać dobrą chwilę. No — proszę pić. Buleczki świeże i masło także.

Postawiła przed Martą na stole filiżankę i podsunęła koszyk z pieczywem. — Dobrze, że tej starej niema, zarazby pożałowała.

— Jakiej starej? — zainteresowała się Marta zabierając się do jedzenia.

— A Katarzyny, kucharki. Pilnuje paninego jak pies. Dzwołka nieznośna. Tylko po kościołach ciągiem lata. Jeszcze podobno panią znała, kiedy panienska była małą. Bo pani to pochodzi z jakiejś wielkiej rodziny i tak zeszła, pomyśleć tylko.

— Zeszła? — powtórzyła Marta ze zdumieniem.

— A może nie? Z panny z dobrego domu, komedianka została i żeby choć to! Cała Warszawa ją w zębach nosi.

— Bo piękną jest, sławną — stanęła Marta w obronie pani Luny.

— Nie każda takiej sławy chytra — zaśmiała się panna Lola. — Nie dziwować się to dziewczynom biednym i bez edukacji, że patrzą za chłopem co da lepsze utrzymanie, ale taka panna!

W tej chwili rozległ się donośny dźwięk dzwonka.

— To ona dzwoni na śniadanie! Przebudziła się już przecie — zawołała panna Lola przygotowując tacę z filiżanką. — Zaraz jej powiem, że panna tu jest.

Wyszła ze śniadaniem i powróciła po chwili zapraszając Martę do wejścia do sypialnego pokoju. W łóżku kapiącym od koronek, wstążek i batystów pod jedwabną żółto-złotą kołdrą leżała pani Luna. Czarne, z falowane włosy rozsypały się po poduszce, uwydatniając bladłość przejrzystej cery. W jasnym oświetleniu dnia bijącym przez okna zasłonięte lekkimi koronkowymi firankami wydała się Marcie starszą niż tam w Zakopanem w pracowni. Twarz jeszcze nie upudrowana i nie upiększona sztucznymi środkami, zdradzała jakieś zmęczenie i wyczerpanie, kryjące się w leciutkich zmarszczkach, które rozsiadły się delikatnie siatką koło powiek i ust bladych różowych. Napół odkryte ramiona i ręce wylaniały się z szerokich rękawów jedwabnej koszuli nocnej, gładkie, toczono lecz martwe jakieś, jakgdyby krwi płynącej pod wydelikacowanym naskórkiem brakło żywszego pulsowania i purpurowej barwy, mogącej je różować.

Ziewnęła szeroko stawiając niedbałe na nocnym stoliku filiżankę i przymrużonymi oczami spojrzała na wchodzącą Martę.

— Ah! to panienska! — wymówiła imelodyjnym wystudyowanym głosem. Nie spodziewałam się. Zapomniałam zupełnie o tym przyjeździe. Że też ci się moje dziecko chciało narażać na takie trudy...

— Proszę pani, ja tak pragnęłam przyjechać do Warszawy... odpowiedziała Marta wzruszonym głosem. — I gdy w Zakopanem pani się taka dla mnie dobra okazała i przyrzekła pomoc swoją, to o tem tylko marzyłam...

— Tak... tak... przyrzekałam... prawda... ale co ja teraz z tobą moje dziecko zrobię — zastanowiła się, zapalając długiego cienkiego papierosa wyjętego z malej zgrabnej papierosnicy złotej... W Warszawie nie tak łatwo znaleźć tego, czego się szuka... Tu tyle ludzi chce żyć... Jedni drugich wypychają łokciami. Ale proszę usiąść — wskazała fotel zarzucony różnymi drobizgami toaletowymi, na których wylegiwał się słusty mopsik w srebrnej obróżce z kokardką. Loui chodź tu! — zawołała rozkazująco na psa, który jednym skokiem znalazł się na kołdrze i doskakiwał do niej zaczął szczekając i łaszcząc się...

— Jak paniencie na imię? zwróciła się nagle do Marty — nie przestając drażnić się z psem...

— Marto!

— Ah! taki Marzio! „Marta, Marta, vols mes aïlarmes.“ — zaśpiewała nagle parę taktów ze znanej opery, zanosząc się od śmiechu — Co ja z tobą zrobię moja Marto! Co ja zrobię! Patetyczne imię! I wygląd niepospolity! Ładna jesteś, wiesz? Trzeba by tylko futerał zmienić, żeby się ten klejnocik wydał lepiej... — Lekki rumieniec wystąpił na bladą twarz Marty. Z tą

różową łuną obejmującą regularne, trochę surowe jej rysy, z błyszczącymi oczami czarnem zapatrzonemi w twarz aktorki — była rzeczywiście ładna.

Biła od niej świeżość i prostota nie skażona jeszcze nadająca całej postaci, smukłej i zgrabnej, jakąś cechę oryginalną i całkiem indywidualną... Tylko mocno czerwone, zmysłowe usta, jakgdyby nie należące do tej prostolinijnej całości, dziwiły i zarazem drażniły ciekawość, pozwalając przypuszczać, że ta prostolinijność udziela z pierwszego wejrzenia była cechą pozorą i mogła się łatwo załamać pod natarciem silniejszych wrażeń i uczuć...

— Ładna jesteś... — powtórzyła poufale pani Luna z lekko ściągniętymi brwiami zatapiając w niej spojrzenie badawcze. — Za ładną może! Albo zwyciężysz, albo zginięsz przez tę urodę... To tak zawsze z kobietami. Na spokojnej, gładkiej powierzchni utrzymać się nam trudno! Ah! — śrępnęła rękami przystrojonymi, bogatymi piercionkami, od których bily tęczne blaski — Psie życie nasze! — Cień przeszedł po jej twarzy, czyniąc ją na chwilę starszą, poważniejszą.

— Ale co tam! — ożywiła się zaraz — żyć trzeba!

I z tego życia jaknajwięcej dla siebie korzyści wyciągnąć — prawda? — zwróciła już do Marty twarz ożywioną, roześmianą łobuzersko. — Brac, brac jaknajwięcej... oszalać się... upajać... do nieprzytomności... do utraty pamięci! — Czy rozumiesz co mówię... pojętna jesteś? Marta roześmiała się, ujęta tym żywiołowym temperamentem, błyskającym co chwilę, niespodziewaną jakąś, olśniewającą rakieta...

W tej chwili do sypialni dobiegł odgłos dzwonka biegnącego z przedpokoju i dźwięk podniesionej ożywionej, rozmowy.

— Nie wpuszczać, nie wpuszczać nikogo, — krzyknęła pani Luna — odrzucając niecierpliwie od siebie psa, który targał koronki jej rękawa. — Nie ma mnie w domu! Nie przyjmuję nikogo! Od rana już zanudza człowieka!

Do pokoju, pomimo głośniego protestu panny Loli, wtoczyła się komiczna postać kobieca!

— Ah! to ciocia Flora! — klasnęła w dłonie pani Luna, która zniecierpliwieni przeszła już do demonstracyjnych objawów radości. — Doskonale się składa. Będiesz mi potrzebna ciociu. Bóg cię zsyła i wszyscy jego Aniołowie. Siadaj tu przy łóżku — blisko — blisko — Lola — zawołała głośno — podaj no tu likier i makaroniki — Napijemy się co? Dobrze dziś jestem usposobiona! Wasze szczęście — wybuchnęła szczerym śmiechem — Inaczej powyrzuciłabym was obydwie za drzwi! Tylko ty, Lola, nie wpuszczaj już więcej nikogo! pamiętaj! Choćby to był cesarz chiński — rozumiesz?

— A próba — proszę pani? — mentorskim głosem zapytała panna Lola wnosząc na tacę pełną flaszki likieru, parę wysmukłych zielonych kieliszków i żądane makaroniki. — Pani zapomniła o próbie? A potem znowu będą awantury! Dyrektor zapisze panią do kury, tak jak w tamtym tygodniu.

— Gwizdę na dyrektora! na całą budę i na wszystkich! — wybuchnęła pani Luna namiętnie. — Ah! niech ich tam! Wielkie rzeczy! Niech mi spróbuje dać dymisję! Ciekawam, czy się bezemnie obejdział Kto mu kasę robi? Kto? Która z tych gęsi ma takie tualety jak ja! Która? Niech mnie po nogach całuje, że chcę w takiej kiernozyi grać! Owa! Na drugi sezon to ja w Paryżu występować będę!

— A jak tam pani chce — zaczęła się Lola, urażona, że jej uwaga przeciwny wręcz odniosła skutek. — A jak potem z tego awantura będzie, to pani mnie się o wszystko czepiać będzie.

Wyszła zatrzasnąwszy głośno drzwi za sobą.

— Teroryzuje mnie ten małpiszon — złościła się jeszcze pani Luna, miętosząc koronki kołdry! — Dawno już bym na cztery wiatry przepędziła, tylko mi jej szkoda, bo żadna tak mnie szybko i dobrze nie ubierze jak ona!

— Niechże się paniuścia złota uspokoi — przemówiło przekonująco dziwaczne czupradło, nazwane przez aktorkę „ciocią Florą“ — Jeszcze migreny paniuścia dostanie i niekorzystnie na wieczór wyglądać będzie. Napijmy się lepiej tego likieru. Zaraz człowiekowi myśli rozjaśni i uspokoi...

Drżącymi od chciwego pragnienia, zasuszo-nymi kościstymi palcami, bursztynowyjzłoty płyn do kieliszków nalewać zaczęła...

(Ciąg dalszy nastąpi.)